

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (21)

(fragmenty)



Spadając, patrzeć w gwiazdy

(podsluchane na przyjęciu imiennym)

– Żebyś wiedziała, jaka mnie wczoraj przygoda spotkała... Jechałam rozpromieniona po spotkaniu z tym moim do domu i przed wjazdem do miasta zachciało mi się iść w krzaczki, a raczej w kukurydzę, bo tam były pola kukurydzy. Zrobiło się już ciemnowo. Zostawiłam auto na dróżce, weszłam w kukurydziane kaczany, ale wydało mi się, że to jeszcze za blisko drogi, więc zrobiłam parę kroczków do tyłu, przykucam, a tu nagle... rymś... Boże! Czuję że spadam w dół... niesamowite uczucie... jakby się coś we mnie urwało. Serce podskoczyło do gardła, oddech mi zawiesiło... przerażające uczucie, bo dół – jak się potem okazało – miał parę metrów głębokości, a mnie się wydawało, że spadanie w przepaść trwa wieczność...

– No to rzeczywiście...

– Ale wiesz, kochana, najśmieszniejsze w tym wszystkim, że spadając, zobaczyłam nagle nad głową takie niesamowicie rozgwieżdżone ogromne niebo, mówię ci, to mnie prawie olśniło i przez błysk sekundy przykuło moją uwagę, zanim wylądowałam na tyłku...

– I co... i co?

– No nic, wygramoliłam się cała ubłocona i potłuczona z tego dołu i pojechałam do domu... A w domu, jak opatrywałam siniaki, to znowu przypominało mi się rozgwieżdżone niebo i oświeciła mnie myśl, że przecież człowiek tyle razy spadał już na tyłek, ale najważniejsze, że jakoś nie stracił z oczu gwiazd (śmiech).

– Hm! A powiedz, bardzo się potłukłaś?

– Dziś już trochę mniej mnie boli, ale wczoraj chodziłam jak potłuczona.

Żyję i bardzo to sobie cenię

Zauważam, że niektórzy moi rówieśnicy drętwiąją, tępieją; rozmowa z nimi bywa przysłowiową orką na ugorze. Jakby już za życia zapadali w starczą drzemkę. Dopiero gdy wypiją parę głębszych, coś w nich zaczyna się ożywiać, drgać.

W odróżnieniu od nich poeta Krzysiek Lesiński z Gdańska, który jakiś czas temu skończył 70 lat, nie spuszcza z tonu. Nasza rozmowa telefoniczna zaczyna się optymistycznie:

– Co u ciebie? – pytam Krzysia.

– Wszystko dobrze. Jeszcze żyję i bardzo to sobie cenię!

Złote ziarnka

byle jakie godziny
w których od czasu do czasu
jak w korcu maku
jak iskry w popielniku
zabłąsny zatańczą
szczęśliwie ziarna sekund

Wyskok do Szwajcarii

(Bergdietikon, Zurych, Rapperswil, Konstancja, Bazylea).

Na pokościelnej imprezie polonijnej w Zurychu rodacy wyglądają jak tabor cygański wyrzucony na bezludną wyspę. Ich dzieci bawiące się w teatrzyk mówią po polsku z obcym akcentem szwajcarskim, jakby z lekka kresowym. Odprawiają swoje dziwne, tajemnicze obrzędy, ceremoniały. Polonia szwajcarska jest mała. Zajmujemy 28. miejsce wśród mniejszości – około 5 tysięcy Polonów.

Rapperswil. „Polenmuseum” – okazały zamek na górze jako ważny punkt pięknego miasteczka położonego nad jeziorem Zurych. Polskie okno wystawowe; Jestem dumny. Jak mało takich miejsc w świecie. Szary, przegowany kot na gzymsie pozuje nam do fotografii, po czym zeskakuje w dół... Wernisaz rzeźb Chromego, czytanie moich wierszy po niemiecku i polsku

Szwajcarzy nienormalnie normalni, oczywiście, o twarzach-maskach ludzi bez właściwości. Trudni do zapamiętania, mało wyraziści. A przecież to jedna z najbogatszych nacji i jeden z najdroższych krajów w Europie. Pod każdym domem bunkier na wypadek wojny atomowej. Ubrani też niepokaznie. Podobno im bogatsi Szwajcarzy, tym niepokazniej się prezentują. O czym tu pisać, gdy życie „wymiziane”, wymuskane, wyregulowane jak w zegarku szwajcarskim: żadnych niespodzianek, ekstrawagancji; kierowcy podporządkowani przepisom (spróbowałiby nie!) poruszają się z prędkościami 40 km na godzinę, krowy z dzwoneczkami na stokach, emeryci „langsam, langsam” z laseczkami na ścieżkach zdrowia; każdy każdego pozdrawia „grici!”, poeci dawno wyginęli i zastąpili ich bankierzy...

Dachy domów na wzgórzach Bergdietikon, gdzie mieszkam u znajomych, wyglądają jak motyle z półroztulonymi skrzydłami na kwiatkach. Zaświeci słońce, odfruną w błękit-

ny przestwór nieba.

Smaczne ziemniaki. Można się nimi zająć. Smaczne jajka kupowane u bauera szwajcarskiego, nie mniej smaczne niż te z polskiej wsi.

Polonusi tutejsi, podobnie jak Polonusi w innych krajach, przypominają mi ryby wyrzucone z akwenu ojczyzny na piasek... choć oczywiście status emigrantów zmienił się w ostatniej dekadzie.

Jednak wciąż odczuwają – albo ja odczuwam – że są wytrąceni z orbity...

Tam, gdzie mnie kiedyś nie chcieli...

Spotkanie autorskie w Radłowiu z uczniami Liceum Ogólnokształcącego, gdzie przed półwieczem profesor fizyki wspólnie z profesorem chemii ulali mnie w I klasie, „dzięki czemu” miałem możliwość poznania Górnego i Dolnego Śląska, zdobycia zaszczytnego i do niczego niepotrzebnego mi tytułu technika górnika oraz – co najważniejsze – poznania życia od podszewki. W końcu nie ma złego, co by nie wyszło na dobre, podobnie jak nie ma dobrego, co by nie wyszło na złe.

Zasłyszane w tramwaju

Słyszę na tylnym siedzeniu za mną głos, i to tak głośny i natarczywy, że z początku wydaje mi się, iż to maniaczka-wariatka rozmawiająca sama ze sobą:

– Nie było to jak w tamtych krakowskich latach. Wiesz, mama czekała z obiadem, niebo było błękitne, a wszystko, co robiłam, smakowało beztróską. Boże! Jechało się wieczorem do klubu, wracało o północy, człowiek taki był szczęśliwy... Nie to, co teraz, gdy muszę się ubabrać tymi różnymi brudnymi sprawami. Muszę i nie ma na to rady...

...Dziś myślałam, że większość ludzi chciałaby być czymś na wzór chipów, sterowanych albo przez Kościół, albo przez Państwo, albo przez Partię czy Firmę... Nie chce im się samym myśleć, nie umieją sami myśleć, na cholerę im myślenie!? Najlepiej się czują, jak mówią cudzymi zdaniami.

...A popatrz na Zośkę. Ona żyje tak, jak chce. Mogłaby być bogatą utytułowaną panią profesor doktor i mieć wszystko... oprócz czasu. Ale nie poleciała na to. Komu chce – pomaga, tyle ma – ile jej trzeba. Nie gromadzi zbędnych rzeczy. Żyje według własnego planu i programu. Nie czeka, żeby jej go ktoś inny napisał: jakiś szpital, jakaś instytucja... L to się nazywa – według mnie – prawdziwe życie...

Specjalnie wysiadłem, żeby zobaczyć tę kobietę, bo mówiła jak z książki. I to mojej. Nawet z tym gadaniem trafiała mi do przekonania. Starsza, trochę przygarbiona pani o ptasim profilu. Raczej niezbyt urodziwa. Wysoka. Obok pewnie jej cichy mąż w okularach. Przejeżdżali przez Kraków. Wysiedli na przystanku i podreptali z plecaczkami na dworzec...

cdn.